

# Edward Guziakiewicz, Afrodyta

## Rozdział pierwszy

(fragment)

Afrodyta zamarła przy wejściu do wyłożonego marmurem wysokiego salonu. Stała w milczeniu, z oddaniem wpatrując się w pochłoniętego myślami Raoula. W takich chwilach czas się dla niej nie liczył. Mężczyzna wreszcie drgnął, słysząc cichutki szelest lub raczej domyślając się jej obecności i machinalnie się obejrzał. Z roztargnieniem zlustrował jej postać. Pojął, że zadurzona w nim dziewczyna adoruje go tak już od kilku minut, a na jego twarzy zagościł zagadkowy półuśmiech. Z ulgą się przeciągnął i odłożył na blat błyszczący prospekt, nad którym się zadumał. Uzmysłowił sobie, że bardzo dobrze zrobił, decydując na tę długonogą panienkę. Była warta grzechu. Połakomił się na anielić z doskonałą figurą, godną tytułu miss świata, i nie miał powodu, by tego żałować. Naturalnie, musiał przezwyciężyć w sobie opory, związane z tradycyjnym wychowaniem. Pamiętał, że początkowo krępowały go niewinne spojrzenia chabrowych oczu boskiej dziewiętnastolatki i że w pierwszych tygodniach jej posiadania zachowywał się wobec niej jak nuworysz wobec lodowatego i dystyngowanego lokaja. Było w tym coś na kształt nie tylko subtelного kompleksu niższości, ale i spychanego do podświadomości poczucia winy. Z moralnego punktu widzenia nie zasługiwał na kogoś takiego jak ona. Na znanej z zamożności Dianie, utworzonej z asteroidów między Marsem a Jowiszem, nabywanie sklonowanych dziewcząt było jednak zalegalizowane — zatem każdy, kto dysponował większym szmałem, a przy tym lubił nim szastać, mógł sobie taką zafundować. Na innych globach Układu Słonecznego krzywiono się z cicha na tę praktykę, szczególnie na Ziemi, która miała opinię najbardziej konserwatywnej

z planet. Handlowanie klonowanymi hurysami pachniało niewolnictwem, co wytykano władzom na Dianie. No, może nieco inaczej było na księżycach Jowisza i Saturna. Im dalej od trzeciej od Słońca, tym większy luz! On sam po kilkudziesięciu latach służby ostatecznie pożegnał przejmującą grozą lodową bazę na odległej planetoidzie i przeszedł na zasłużoną emeryturę. Nigdy nie był żonaty i pewnie dlatego wysyłano go tam, gdzie diabeł chichocząc, mówił dobranoc, czyli na obrzeża Układu Słonecznego. Na jego koncie w Marsjańskim Banku Komercyjnym uzbierała się niezła sumka, która dodatkowo urosła dzięki temu, że poza orbitą Neptuna przypadkiem trafił na znaczne złoża retelitu, więc mógł się urządzać na spokojnych przedmieściach Nowego Konstantynopola. Kupił zbudowaną ze smakiem kredowobiałą willę z palmami w przestronnym atrium i podświetloną pływalnią z delfinem. Miał dwa młode oswojone owiraptory. W efekcie zajmował się tym, o czym skrycie marzył od najmłodszych lat. A więc niczym.

Z natury pasywny, uwielbiał błogą bezczynność i już jako podrostek potrafił godzinami wylegiwać się i wpatrywać w biały sufit lub z rękami w kieszeniach włóczyć bez celu po okolicach miasteczka i zbijać bąki. W głębi duszy nie gardził — jak prawie każdy mężczyzna — subtelnymi doznaniem zmysłowymi i nie zmieniły jego skłonności wymagające wstrzeźliwości lata służby w Siłach Kosmicznych Układu. Co więcej, mogło się wydawać, że jeszcze je wzmocniły.

— Podejźże, kochanie, nie przeszkadzasz mi — życzliwie zachęcił dziewczynę. — Już skończyłem...

Afrodyta była pierwszą i jedyną niewolnicą, na jaką mógł sobie w życiu pozwolić. Bywały chwile, w których wątpił w to, czy psychicznie dojrzał do jej posiadania. Jakaś część niego nie pogodziła się bowiem z tym, że modelka o fenomenalnej urodzie nie posiada przyrodzonych praw, należnych żywej istocie ludzkiej. Przez pierwszy tydzień tłumił w sobie żądze, nie chcąc posuwać się wobec niej za daleko i traktując ją niemal jak daleką

kuzynkę, która na krótko zatrzymała się pod jego gościnnym dachem. Zachowywał się jak zadurzony sztubak i skwapliwie zabiegał o jej względy. Instynktownie grał rolę, która mu odpowiadała i jakoś go usprawiedliwiała we własnych oczach. Obiektywnie biorąc, jego zawstydzające zaloty i żenujące umizgi nie miały najmniejszego sensu i stanowiły bezsporną stratę czasu. Afrodyta bowiem była do niego bezwarunkowo przystosowana, a wszczęte jej standardowe programy z wyrafinowanym kluczem erotycznym załatwiały sprawę. Rzadko kiedy zawodziły. Psychotronika stała wysoko na Dianie i w mózg klonowanego ciała, w którym aż roiło się od implantów i mikroprocesorów, wpisano złożony zespół zachowań, zadowolających nawet najbardziej wybrednego kochanka. Blondynka o figurze Marilyn Monroe była więc na wpół elektroniczną maszyną do uprawiania seksu i zaspokajania męskiej chuci. I właściwie niczym więcej. Z prawnego punktu widzenia pozostawała androidem klasy zerowej. Człowiek wolny miał naturalnych rodziców, drzewo genealogiczne i trochę inaczej poukładane w głowie.

— Niczym więcej? — zapytał swoje niewyraźne odbicie widoczne w wieku czarnego fortepianu, gdy podniósł się z wyszcietanego miękką skórą fotela. — Niczym?!

Dopiero teraz podeszła, nie rozumiejąc jednakże rzuconych półgłosem słów. Nie była Alicją z Krainy Czarów i nie mogła przejść na drugą stronę lustra. Tym niemniej umiała wodzić go na pokuszenie i posiadała przewyborny dar zrzucania z siebie w jego towarzystwie i tak z reguły skąpego odzienia. Owiał go oszłamiający zapach jej drogich perfum.

— Tak, Raoulu? — zapytała, a jej niewinnie spoglądające niebieskie oczy wydawały się wyrażać potrzebę odgadywania jego najskrytszych pragnień. — Coś cię niepokoi?

Ogarnął ją ramieniem i przytulił do siebie. Lubił ciepło jej ciała i jedwabistą gładkość jej skóry.

— Nie, zupełnie nic — westchnął. — Jesteś słodka jak cukiereczek — pocałował ją w ucho, odgarniając furę jasnych wło-

sów. — Jak zwykle.

Zamruczała niczym kotka i lekko się od niego odsunęła.

— Czy wieczorem wychodzimy gdzieś razem? — z ciekawością zapytała.

Zerknął na wmontowany w ścianę cyferblat zegara, pokazującego czas na wszystkich planetach i księżycach Układu Słonecznego i wyłowił wzrokiem Nowy Konstantynopol.

— Może tak, a może nie — ziewnął, dyskretnie przysłaniając dłonią usta. — Pogodę mamy jak wypisz wymaluj i nie zapowiadano na dzisiaj deszczu — skonstatował, ale bez przekonania. Na południu znaczyły się rozległe pola uprawne, więc kropiło tam częściej niż gdzie indziej. Nagle się ożywił. — Wiesz, o czym dumam? Nigdy byś nie zgadła.

Na tak postawione pytanie Afrodyta miała zawsze gotową tylko jedną odpowiedź.

— Chcesz się teraz kochać? — gdy się z tym do niego zwracała, jej lekko wibrujący aksamitny głos wydawał się zniewalać.

— Nie — pokręcił przecząco głową. — To znaczy, tak — poprawił się z ożywieniem. — Ale nie o tym myślałem, wspominając o mych najskrytszych marzeniach. — Zawahał się. — Lata lecą, kalendarz jest nieubłagany, więc dopóki jeszcze mogę i sił mi starcza, chciałbym wybrać się na Ziemię — zdradził wreszcie z pewnymi oporami. Zajrzał z niepokojem w jej oczy, jakby licząc na to, że przesłodka przyjaciółka oceni ten zamysł ze swojego punktu widzenia. — Tam się przecież wychowałem, spędziłem dzieciństwo i młodość, chodziłem do szkoły i studiowałem. Stąd sentymenty. Ech, dużo by opowiadać!

Dziewczyna nigdy jednak nie oceniała jego projektów i zamierzeń. Tego jej nie było wolno i pod tym względem — niestety — nie różniła się nawet od prymitywnego androida klasy czwartej, który co piątek przylatywał mobilem i czyścił jego basen. Tkwiła w cienkiej półprzeźroczystej powłoce snu i obce jej były zawiłości życia wewnętrznego.